

**TERAZ NAPISZĘ O... MARKSIE**  
**- rozmowa z profesorem Markiem Janem Siemkiem<sup>1</sup>**

*MAGDALENA BAJER: Czy bagaż wyniesiony z domu – duchowy, intelektualny – uodporniał Pana przeciwko „ukąszeniu”, czy raczej czynił na nie podatnym?*

MAREK J. SIEMEK: Może to Pani sama ocenić. Mam bagaż tradycji, w szerokim rozumieniu, inteligenckiej. W szerokim dlatego, że to była inteligencja pierwszego pokolenia. Mój ojciec był synem kolejarza w Nowym Sączu. Kolejarze stanowili tzw. arystokrację robotniczą, ale dom dziadków był dość ubogi a wielodzietny (to raczej tradycja w tamtych czasach nieinteligentka). Dwaj bracia, z dziewięciorga rodzeństwa, ukończyli studia – ojciec polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1937 roku. Przed wojną zaczął pracować jako nauczyciel w gimnazjum i wtedy też zaangażował się w ruch socjalistyczny. Z tamtego czasu datuje się jego znajomość, później w Polsce powojennej dosyć zażyła, z Józefem Cyrankiewiczem, który w Krakowie był jednym z liderów socjalistycznej młodzieży akademickiej, a działał już także w PPS. Podczas okupacji ojciec związał się z tajnym ugrupowaniem zdecydowanie socjalistycznym – powstawały takie niewielkie środowiska, szczególnie w Krakowie. Skoro pani pyta o mój bagaż, to podkreślam owe związki – nie z podziemiem londyńskim, ale z tym właśnie socjalistycznym, afiliowanym, zresztą, do Państwa Podziemnego, stanowiącym jednak jego margines. Rodzina matki miała podobne tradycje. Co prawda jej starszy brat odziedziczył pokaźny majątek w dawnej podkrakowskiej wsi Mogile – ja się później w żartach chwaliłem, że na mojej rodzinnej ziemi stoi Nowa Huta. Podczas okupacji w tamtejszym młynie był jakiś ośrodek PPS-owskiej konspiracji. Przechowywano tam broń, ukrywano Żydów, gdyż drugi mój wujek był mocno zaangażowany w działalność Żegoty. Rodzice pobrali się podczas wojny – ja się urodziłem w roku 1942, w czasie gdy ojciec siedział parę miesięcy w więzieniu na Montelupich, skąd jakoś zdołano go wykupić. Jak pani widzi, moja legenda okupacyjna jest trochę... niestandardowa.

*- Domyślam się, że ta tradycja zaważyła na późniejszych wyborach i losach?*

- O tak. Ojciec w ciągu pierwszych czterech lat po wojnie stał się jedną z głównych figur „legalnej PPS”, związanej głównie z Cyrankiewiczem. Do momentu zjednoczenia z PPR, w grudniu 1948 roku, był sekretarzem wojewódzkim PPS we Wrocławiu, dzięki czemu spędziłem wczesne dzieciństwo w tym, całkowicie zrujnowanym, mieście. Tam się urodził mój brat. W 1949 roku przenieśliśmy się do Warszawy, przeżywając okres niełaski dla byłych PPS-owców. Ojciec pełnił nieprzyjemne funkcje. Najpierw praca w wydawnictwie Książka i Wiedza – to jeszcze było znośne. Potem znalazł się w Urzędzie do Spraw Wyznań, na krótko, ale w najgorszym momencie – zawsze miał takiego osobliwego pecha. Podlegał mu tzw. Fundusz Kościelny, uczestniczył w wydawaniu zezwoleń na budowę kościołów, czemu zawdzięczał wiele ciekawych znajomości. W momencie aresztowania Prymasa Wyszyńskiego był akurat urzędującym zastępcą dyrektora i, niestety, brał w tym udział, chociaż nie bezpośrednio. Jest to trochę ciemna karta jego biografii.

---

<sup>1</sup> Fragment książki Magdaleny Bajer „Blizny po ukąszeniu”, wyd. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2005, ss. 184-201.

– *Tak Pan to ocenia teraz. A wcześniej?*

– Od dawna uważałem, że to były akcje... co najmniej zbyteczne, chociaż potrafię zrozumieć... Za życia ojca czasem o tym rozmawialiśmy. Miał podobną ocenę. Nie tej jednej zresztą chwili swego życia. Jeśli powiedziałem o pechu, to dalszym ciągiem pecha było przeniesienie ojca do Poznania (mam sentyment do tego miasta, gdzie kończyłem szkołę podstawową i zaczynałem średnią), w roku 1955, na stanowisko naczelnego redaktora „Gazety Poznańskiej”, organu partii. Było to wysokie stanowisko w ówczesnej strukturze władzy – jedno z może pięciu najważniejszych w lokalnej hierarchii. Przyszedł czerwiec 1956, potem Październik, ojca z tego stanowiska odwołano. Wrócił do Warszawy i później pracował w Biurze Prasy Komitetu Centralnego partii. Instytucja ta sprawowała polityczną kontrolę nad całą sferą mediów, jak się mówi dzisiaj, a wtedy używano określenia: prasa, włączając w to radio, telewizję, wydawnictwa... Pracę zawodową skończył na stanowisku prezesa cenzury, przechodząc na emeryturę w roku 1971, kiedy ekipa Gierka odsuwała ludzi związanych z ekipą Gomułki. Kariera mego ojca była charakterystyczna dla losów ludzi PPS, którzy, poza samym Cyrankiewiczem, nie osiągnęli stanowisk najwyższych, ale te „drugiego szczebla”.

– *Czy w atmosferze Pana dzieciennego domu tradycje PPS-owskie były wyraźnie obecne?*

– Tak. Ludzie z PPS-owskim rodowodem stanowili pewien elitarny krąg, który starał się kontynuować – w granicach możliwości – tradycje sięgające okresu międzywojennego. Był to klimat laickiego humanizmu, z mocnym zaznaczeniem laickości i ojca działalność na niwie stosunków z Kościołem, działalność w jakimś sensie antykościelna, była z takim klimatem związana. Owocem głębszych zainteresowań tymi sprawami (poza pewną liczbą broszur o mocnym zabarwieniu propagandowym) jest jego książka *Śladami kłatwy*, wydana na początku lat sześćdziesiątych przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, będąca historyczną monografią zjawiska anatemy kościelnej. Wtedy to była praca pionierska, a w latach dziewięćdziesiątych wydano ją ponownie. Mówię o tym, żeby przybliżyć atmosferę mojego domu. Świecki etos nie był antyreligijny – matka była wierzącą i praktykującą katoliczką. Ja zostałem ochrzczony podczas okupacji, ale dalszych szczebli polskiego wychowania katolickiego nie przeszedłem. Nasze wychowanie szło raczej pod prąd takich stereotypów.

– *Wymagania stawiane dzieciom nie mogły chyba być inne niż w domach katolickich?*

– W treści były dokładnie takie same, a odznaczały się, powiedziałbym, zaostrzonym rygoryzmem. Myślę, że pokolenie partyjnych działaczy z okresu tużpowojennego cechowała taka właśnie rygorystyczna uczciwość – w sensie osobistym. Skoro pani pyta o wymagania w domu, to na pierwszym miejscu była prawdomówność. Poza tym, pielęgnowano u dzieci wszelkie odruchy, które nazwałbym solidarnościowymi – za to nas chwalono. Należało być wrażliwym na cudzą krzywdę, cierpienie, nie myśleć o sobie, wykorzenić egoistyczne skłonności. Układało się to w pewien spójny etos.

– *Czym te wymagania były uzasadnione? W wychowaniu katolickim*

*uzasadnieniem jest pragnienie podobania się Bogu...*

– Na dobrą sprawę nie pamiętam żadnych uzasadnień. Rodzice nie robili nam wykładów, jak należy postępować. Praktykowali to. W szkole miałem podobne środowisko, bo to było liceum dla „czerwonej burżuazji”, zresztą jedno z najlepszych w Warszawie. W tamtych czasach imienia gen. Karola Świerczewskiego, dzisiaj Cervantesa. Moimi koleżankami, od pierwszej klasy do matury były: Hania Zawadzka, córka Aleksandra, przewodniczącego Rady Państwa, Zosia Ochabówna, córka Edwarda, pierwszego sekretarza KC PZPR. Po 1956 roku to się zmieniło i w czasie, kiedy ja zdawałem maturę – w roku 1960 – to liceum zyskiwało opinię szkoły awangardowej, bo otwartej na środowiska dołów społecznych, zgoła lumpenproletariackie. Miało to być „zacieranie różnic”, „wyrównywanie szans”. Pielęgnowano tam te same ideały, które przyświecały mojemu wychowaniu domowemu: laickiego humanizmu, o którym mówiłem, etyki niezależnej formułowanej przez Kotarbińskiego, a także, później, przez Leszka Kołakowskiego w eseju *Etyka bez kodeksów*, który ukazał się na początku lat sześćdziesiątych. Zdałem sobie z tego dobrze sprawę, dopiero gdy zacząłem studiować filozofię. Wtedy sam dotarłem do bardziej gruntownych uzasadnień takiej formacji, jaką otrzymałem – poczynając od Kanta i jego „autonomicznej woli prawodawczej”, która sama sobie stanowi prawo i właśnie dlatego jest mu posłuszna – nie dlatego, że się boi sankcji... W wychowaniu przez dom i szkołę było to, oczywiście, spontaniczne, raczej odruchowe niż odniesione do jakiegoś wybranego modelu.

– *Domowe lektury?*

– Nauczyłem się czytać w wieku chyba czterech lat, idąc do szkoły czytałem biegle i nawet chciano mnie wziąć od razu do trzeciej klasy, czemu ojciec się sprzeciwił. Zawsze miałem upodobanie do klasycznej literatury polskiej, głównie epickiej. Czytałem powieści XIX-wieczne, oczywiście Sienkiewicza, ale też sporo *Młodej Polski*... Od tego zaczęły się z czasem jakieś przejścia do pierwszych lektur filozoficznych.

– *Kiedy?*

– Moja średnia szkoła przypadła na czas, gdy w Polsce, po październikowej „odwilży”, ukazywało się dużo książek, po wojnie niewydawanych, w tym także wiele dzieł filozoficznych. Trzeba tu wymienić *Krytykę czystego rozumu* Kanta, w tłumaczeniu Romana Ingardena, wydaną w Bibliotece Klasyków Filozofii, której pierwsze tomy ukazały się dużo wcześniej, jeszcze w latach stalinowskich. Adam Schaff niewątpliwie ma tu wielką zasługę. Wymyślił taką serię wydawniczą, żeby pozatrudniać wyrzuconych z uniwersytetów przedwojennych profesorów, w charakterze tłumaczy, autorów przypisów, not biograficznych itp. Robili to m.in. Maria Ossowska, Czesław Znamierowski, wspomniany Ingarden. W tym samym czasie i w podobnym celu zorganizował Instytut Filozofii i Socjologii PAN, gdzie także znaleźli się ludzie odsunięci od dydaktyki. Podobną rolę odegrał Instytut Badań Literackich stworzony przez innego uczonego-aparatczyka, Stefana Żółkiewskiego.

– *Żółkiewski pisał programowe książki marksistowskie, które ja na studiach miałam w kanonie lektur obowiązkowych...*

– A jednocześnie IBL był, zwłaszcza tuż po Październiku, kuźnią wszelkich „nowinek” oficjalnie nieuznawanych. Dyskutowano tam na przykład wiele o strukturalizmie, studiowano Lévi-Straussa, Lacana, Foucaulta.

– *Skoro o Schaffie mowa, to mało kto wie albo pamięta, że za jego przyzwoleniem, a z inicjatywy Stefana Swieżawskiego, który znał Schaffa ze studiów we Lwowie, utworzono w Bibliotece Jagiellońskiej zespół badaczy, w którym byli filozofowie, przeważnie absolwenci KUL-u, niemogący gdzie indziej znaleźć pracy, dla opracowania filozoficznych rękopisów średniowiecznych. Po wielu latach to zadanie zostało zakończone. Dokonano podczas tej pracy niejednego odkrycia.*

– To był w istocie ośrodek badań nad filozofią średniowieczną – polską i nie tylko polską – pod przykrywką porządkowania rękopisów. Przetrwały więc, przez cały czas ideologicznego monopolu oraz izolacji, zespoły badawcze i pewne, powiedziałbym, gremia intelektualne, przechowujące uczciwy warsztat naukowy i mające kontakt z humanistyką światową. Okres najcięższych represji nie trwał, na szczęście, bardzo długo. Po kilku latach profesorowie wracali na uniwersyteckie katedry, zaczęła się odwilż. Jest taka legendarna opowieść, jak to na Wydział Filozofii UW wrócił Władysław Tatarkiewicz, wielka postać, znakomity wykładowca, autor wciąż najlepszego polskiego podręcznika historii filozofii. Wszedł do Auditorium Maximum, wypełnionego po brzegi, stanął za katedrą i powiedział: „Proszę państwa, sześć lat temu przerwaliśmy mój wykład w punkcie takim oto. Dzisiaj więc podejmujemy go w tym punkcie...”. Jest to symbol tego wszystkiego, co przeżyło stalinizm, czego nie udało się zniszczyć. Podobną wymowę miało przyjęcie przez Sejm Ustawy o Szkolnictwie Wyższym, zaraz na początku 1957 roku, w której zapisano dosyć znaczną autonomię uczelni, a przede wszystkim wprowadzono, bo tego nigdy po wojnie nie było, strukturę niemiecką – ze stopniami doktora, docenta, profesora nadzwyczajnego, zwyczajnego, kładąc tamę mocno zaawansowanym próbom przyjęcia systemu radzieckiego. Dzięki temu tylko Polska ze wszystkich państw satelickich zachowała w tej kwestii podobieństwo do Europy. Trzeba też powiedzieć, że aż do końca PRL przetrwała owa, wywalczona wówczas i od razu instytucjonalnie ugruntowana, autonomia. Oczywiście, były na nią potem zamachy, największy w roku 1968 – z mojego Wydziału Filozoficznego wyrzucono wtedy sześciu najlepszych profesorów – ale z dłuższej perspektywy i ten zamach okazał się mało skuteczny, gdyż sama struktura, tak to nazwę, życia akademickiego przetrwała. Etos tego środowiska przejawiał się na każdym kroku. Nie do pomyślenia było, żeby rzeczywistymi autorytetami mogli się stać „funkcjonariusze nauki”. Wszyscy wiedzieli kto jest kto. Tak wyglądała odwilż na uczelniach, a w życiu kulturalnym zaczęła się wcześniej, już w roku 1955. Wtedy ukazał się *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka, szalenie gorzko demaskujący obłudę i pozór oficjalnej propagandy.

– *No i przekład polski samej Odwilży Erenburga, książki, od której wziął*

*nazwę czas przemian, dopełnionych w Październiku 1956 roku. Biegło się po nią do księgarni podczas przerwy w wykładach. Pan wtedy chodził do szkoły?*

– Tak jest i pilnie czytałem te książki, które się ukazywały, na przykład *Wstęp do psychoanalizy* Freuda i *Szkice sceptyczne* Bertranda Russella. Na pewno nie umiałem sobie tego wszystkiego porządnie poukładać w głowie, ale one były dla mnie ważne. Współtworzyły niemały, jak sądzę, potencjał Polskiego Października – razem z fascynacją jazzem czy działalnością teatrów studenckich, poczynając od STS-u. Jako uczeń nie byłem stałym bywalcem, ale trochę chodziłem.

*– Było to niezłe przygotowanie do studiów humanistycznych...*

– O tak. Muszę zresztą powiedzieć, że moje studia, 1960-1965, przypadły na najlepsze pięciolecie w historii PRL. Zaczynając rok wcześniej, wpadało się jeszcze w wir aktywności rozmaitych nowych organizacji młodzieżowych, studenckich, a z kolei rok, dwa później zahaczało się, kończąc studia, o narastającą falę „zamrożenia” zmian październikowych.

*– Na studiowanie filozofii zdecydował się Pan wcześniej?*

– Zawsze gdy mnie o to pytają, opowiadam, jak to zamierzałem zostać fizykiem teoretykiem – razem z moim najbliższym przyjacielem. Papiery już były złożone, ale... poróżniliśmy się (o dziewczynę, której już nie pamiętam). Przyjaciel rzeczywiście został fizykiem, dosyć znanym, natomiast ja wycofałem papiery i poszedłem na filozofię. To anegdota, bo filozofia, jak pani wie, interesowałem się już w szkole.

*– Rozumiem, że na studiach, które jak słyszę, przypadły na najlepsze lata PRL, znalazł Pan możliwości zaspokojenia i rozwinięcia tych zainteresowań?*

– Wydział Filozoficzny UW był wtedy jednym z głównych skupisk elity intelektualnej i kulturalnej, nie tylko warszawskiej. Zajmowaliśmy cały budynek przy Krakowskim Przedmieściu 3; po marcu 1968 roku nas ściśnięto, bo wprowadzili się tam politologowie, jako rodzaj forpoczty „zdrowych sił” reżimu. No i nasz wydział, obok matematycznego, spotkały wówczas najdotkliwsze represje – rozwiązano całe roczniki. Kiedy ja studiowałem, w tym budynku kłębili się nieustannie nie tylko ludzie, którzy rzeczywiście chcieli zgłębiać filozofię, ale mnóstwo młodych pisarzy, krytyków, plastyków, aktorów, artystów kabaretowych, muzyków. Na moim roku byli: Jan Stanisławski, Krzysztof Świętochowski – późniejszy znakomity spiker radiowy, Wanda Warska, z którą pojawiał się Andrzej Kurylewicz. Miałem również szczęście spotkać jeszcze najwybitniejszych spośród tej przedwojennej profesury, którzy wrócili, niestety, nie na długo, bo to były ostatnie lata ich pracy albo wręcz ich życia. Chodziłem na wykłady Stanisława Ossowskiego, zaglądałem na seminaria Marii Ossowskiej, Niny Assorodobraj. Nie można było skończyć filozofii, nie studiując tzw. kierunku dodatkowego i ja wybrałem socjologię, która zresztą należała do naszego wydziału. Seminaaria prowadzili od czasu do czasu Kotarbiński, Tatarkiewicz, Kazimierz Ajdukiewicz wykladał jeszcze dwa lata w czasie, gdy studiowałem.

– *Kto z powojennych filozofów był Pana mistrzem?*

– Dwaj znakomici uczeni: Bronisław Baczko i Leszek Kołakowski. Był to okres, jak dzisiaj oceniam, apogeum ich twórczości. Obaj prowadzili seminaria – na uniwersytecie i w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN; to drugie ogólnopolskie. Wokół nich zebrały się grupy ciekawych ludzi, bardzo liczne i zróżnicowane. Obok studentów filozofii byli tam historycy, poloniści, antropolodzy, socjologowie. Trwała szalenie intensywna praca myślowa, toczyły się ogromnie żywe debaty i spory. W roku 1966 odbyło się spotkanie w dziesięciolecie Października, na którym Kołakowski i Krzysztof Pomian, którego także muszę wymienić wśród moich najważniejszych nauczycieli, wtedy świeżo po doktoracie, poddali ostrej krytyce coraz bardziej kosztującą politykę partii, zwłaszcza wobec kultury, nauki, środowisk akademickich i twórczych. Była to bardzo ważka diagnoza z elementami analizy socjologicznej oraz ekonomicznej. Korzystali obficie ze słynnego *Listu do partii* Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, który pisany był wprawdzie z pozycji „zdrowej” lewicy partyjnej, ale zawierał elementy oceny aktualnego reżimu – tego „realnego socjalizmu”, jak go zaczęto nazywać później, w latach siedemdziesiątych – daleko wykraczające poza ramy krytyki wewnętrznej, i nawet najszerszej rozumianej ideologii socjalistycznej. Miało to dramatyczne konsekwencje: Kołakowskiego i Pomiana usunięto z partii.

– *Mogło to oznaczać koniec kariery naukowej ich samych i źle wpłynąć na losy uczniów...*

– Na pewno było poważnym zagrożeniem. Nie jest prawdą, że przynależność partyjna stanowiła warunek bezwzględny, znam ludzi niemających nigdy nic wspólnego z partią, którzy porobili świetne kariery, ale narazić się i zostać wyrzuconym to było piętno.

– *Pan był już po studiach?*

– Skończyłem studia w roku 1965, od razu zostałem asystentem i zabrałem się do doktoratu. Nie uczestniczyłem czynnie w tych wydarzeniach, zajmując – już wtedy – pozycję pewnego dystansu.

– *Był Pan w partii?*

– Byłem. I to do końca. Wstąpiłem na czwartym roku studiów (1964), wywołując zdziwienie wielu moich przyjaciół. A zrobiłem to głównie z powodów... teoretycznych. Wtedy właśnie odkryłem, na swój użytek, Marksa i całą tradycję marksizmu, socjalizmu – od strony przede wszystkim filozoficznej, dokładniej filozoficzno-socjologicznej. Wydało mi się to koncepcją, jeśli nie najpoważniejszą, to bardzo poważną, pośród nowoczesnych myśli o świecie i społeczeństwie.

– *PZPR wydawała się ją realizować?*

– Myślałem, że wstąpienie do PZPR jest wyciągnięciem praktycznych konsekwencji z tego mojego stanowiska teoretycznego. W 1968 roku o mało nie zostałem wyrzucony, ale skończyło się na drugiej w kolejności karze, czyli naganie z ostrzeżeniem.

– Za co?

– Trochę głupio o tym mówić, bo nie za zaangażowanie polityczne, chociaż wszyscy i ja też braliśmy udział w strajkach okupacyjnych studentów, na zebraniach, razem z innymi, przeciwstawiłem się wykluczeniu z partii kolejnych kolegów, kolejnych grup studentów, ale bezpośrednia przyczyna była groteskowa – nie poszedłem na pochód pierwszomajowy. I to nie było manifestacją polityczną; pojechaliśmy z przyjaciółmi za miasto w piękny wiosenny dzień owego roku, w pewnym stopniu uciekając od atmosfery dusznej w sensie dosłownym i przenośnym.

– *Dzisiaj trudno uwierzyć, żeby za to karano jednak surowo.*

– Był to okres wyjątkowy, wcześniej tylko słyszałem, że na pochodach pierwszomajowych sprawdzano listy obecności i to może w fabrykach, nie na uniwersytecie.

– *Sprawdzanie list akurat pamiętam z okresu swoich studiów.*

– W latach siedemdziesiątych zacząłem trochę jeździć po świecie i nie było mnie w Polsce w momencie narodzin „Solidarności”. Wyjechałem w maju 1980 roku na stypendium Humboldta do Niemiec. Tam mnie też zastało wprowadzenie stanu wojennego, wróciłem w czerwcu 1982. Staralem się, oczywiście, śledzić, co dzieje się w Polsce, ale fakt, że jednak nie byłem uczestnikiem ani bezpośrednim świadkiem wydarzeń, sprawił, że nie uznałem za konieczne, a nawet za stosowne, pozbyć się manifestacyjnie legitymacji partyjnej. Pod koniec lat osiemdziesiątych ona już mi ciążyła, ale, choć może to nie brzmi przekonująco, czułem, że trzeba zostać do końca. Z powodu, czy ja wiem, elementarnej lojalności, ale przede wszystkim wierności – sobie, swoim wyborom i decyzjom.

– *Czy to była też wierność wobec marksizmu?*

– Marksizm to osobna duża sprawa. Wiąże się z pragnieniem i z wysiłkiem intelektualnym podejmowanym dla zrozumienia całej współczesnej rzeczywistości, nie tylko, a na pewno nie przede wszystkim polskiej. Swoistą przypadłością tej mojej przygody jest to, że od początku marksizm sam w sobie bardzo mnie interesował – ze względu na swoją doniosłość globalną, a nie lokalną – jako teoria społeczna. Nie miałem nigdy kontaktu z marksizmem „urzędowym”, a ten, z którym się zetknąłem i odkryłem dla siebie, był zupełnie inny. Nie bardzo może wypada dzisiaj o tym mówić, ale to moi obaj wielcy nauczyciele, Kołakowski chyba bardziej niż Baczek, wprowadzili mnie w ten marksizm. Uczyłem się z pism Kołakowskiego, publikowanych na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a przypominę, że on jeszcze po Październiku deklarował się jako marksista i socjalista. Potem już się nie deklarował, ale to, co robił, było – w najlepszym sensie – marksowskie, żeby nie używać określenia „marksistowskie” zawłaszczzonego przez propagandę.

– *Proszę dokładniej opisać ten marksizm Kołakowskiego, przyjęty przez Pana.*

– To był młody Marks. Wtedy właśnie pojawiły się w Polsce *Rękopisy*

*ekonomiczno-filozoficzne* i inne młodzieńcze pisma, które zresztą przyszły do nas z Zachodu, gdzie Marks był obecny w całości. My dostaliśmy się w orbitę sowieckiej scholastycznej ortodoksji i w ogóle nie znaleźliśmy tych tekstów. Dopiero po Październikowym otwarciu mogliśmy odkrywać nie tylko młodego Marksa, ale takich myślicieli jak Antonio Gramsci, Georg Lukács, Ernst Bloch czy Theodor W. Adorno, a także włoskich i francuskich marksistów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Były to bardzo ciekawe nurty, różniące się między sobą znacznie, a zgodne w zdecydowanej opozycji wobec radzieckiego marksizmu. Nie pamiętam, kto ukuł wtedy takie określenie: marksizm zachodni. Był bardziej krytyczny niż rewolucyjny. Spośród krajów bloku wschodniego rozwijał się w Polsce i w Jugosławii – jeszcze w latach sześćdziesiątych. W Jugosławii, która była – z różnych powodów – bardzo opozycyjna ideologicznie, ukształtowały się silne ośrodki takiego marksizmu, czasem nazywanego rewizjonistycznym. Przede wszystkim miesięcznik „Praxis”, wydawany w Zagrzebiu, pospołu przez Serbów i Chorwatów, oraz związana z nim Letnia Szkoła Filozoficzna na wyspie Korcula w Dalmacji, która działała do końca lat sześćdziesiątych. Nie zdarzyło mi się w niej uczestniczyć, ale później regularnie odwiedzałem Międzyuniwersyteckie Centrum Studiów Podyplomowych (IUC) w Dubrowniku, stanowiące jej kontynuację, co roku, aż do połowy lat osiemdziesiątych. Pewnie dlatego mam zupełnie inny obraz dawnej Jugosławii – piękny, wspaniały – i należę do tych, którzy uważają za jeden z największych grzechów współczesnej Europy to, że dopuściła do jej rozpadu.

– *Mówi Pan o tym w czasie przeszłym.*

– Rozmawiamy przecież o przeszłości. IUC działa znowu – teraz tylko w granicach Chorwacji – nie jest to już jednak to samo. Proces krytycznego namysłu nad ideami Marksa, jaki tam się toczy, nieuchronnie przynosi... krytyczną destrukcję.

– *Dlaczego?*

– Ponieważ odsłania wewnętrzną antynomię idei Marksa, tj. takiej krytyki, która staje się teorią zinstytucjonalizowaną, koncepcją polityczną. Jego myśl, żeby się urzeczywistnić, a na tym „ojcom założycielom” zależało, miała zawładnąć masami, niejako ująć masy w swoje ramy – organizacyjne, instytucjonalne... Z teorii krytycznej przekształcała się więc w ideologię. Napięcie między krytyką a ideologią jest obecne w marksizmie od samego początku. Kryzys tego, co nazwałem marksizmem zachodnim, także polskiego marksizmu, tego „rewizjonistycznego”, odsłonił to napięcie wyraźnie. Jeśli się wszystko to przemyśli, rozważy i przedyskutuje z innymi – widzi się paradoks zawarty w samym określeniu: teoria marksistowska czy marksovska, polegający na tym, że albo można być „w teorii”, a tym samym zajmować się porządną krytyką, albo można być marksistą w sensie deklaracji ideowej przynależności, która już zobowiązuje do lojalności, do utożsamienia się z określonym stanowiskiem wobec rzeczywistości, także politycznej. W latach osiemdziesiątych doszło do uświadomienia tego – w skali światowej – i tu ma źródło, trwały chyba, kryzys. Nie można dzisiaj mówić o jakiejś odnowie marksizmu jako doktryny, co nie znaczy – mocno to akcentuję – że nie można mówić o odnowie żywej i autentycznej obecności takiej teorii i krytyki pojęciowej, intelektualnej i społecznej, która jest



poczęta z ducha Marksa i odbywa się niejako pod jego pieczęcią.

– *Mówi się o tym, czy też to się dzieje?*

– Nie mam wątpliwości, że w świecie, w Europie i w Polsce mamy do czynienia z powrotem do Marksa, ale nie jako znaku czy symbolu jakiejś zideologizowanej doktryny, tylko jako pewnego kierunku krytycznej refleksji, także samokrytycznej.

– *Na gruncie filozofii?*

– Też. Na gruncie przede wszystkim filozofii społecznej, gdzie ta krytyczna refleksja jest kontestacją istniejącego porządku rzeczy. Ale także na gruncie szeroko rozumianych nauk społecznych, a jeszcze szerzej – humanistyki i nauk o kulturze.

– *Czego przede wszystkim dotyczy?*

– Szans i zagrożeń związanych z globalizacją. Ruchy antyglobalistyczne, które z uwagą obserwuję, karmią się tą refleksją, ale i sam globalizm poczęty jest z ducha marksowskiego. Kilka lat temu na okładce jednego z pism niemieckich zamieszczono podobiznę Marksa, tę klasyczną, znaną wszystkim do mego pokolenia włącznie, opatrzoną dużym napisem: *Karol Marks żyje* i pod spodem mniejszym: *Pracuje w Banku Światowym*. Socjologowie, a i ekonomiści, choć mniej, przypominają sobie, że to Marks pierwszy podjął, oczywiście niedoskonałą, ale konsekwentną i dość daleko idącą próbę analizy nowoczesnego społeczeństwa kapitalistycznego jako pewnego systemu, pewnej całościowej struktury, oraz uchwycenia jego wewnętrznej dynamiki.

– *I to jest dzisiaj płodne?*

– W makrosocjologicznej i makroekonomicznej perspektywie myśl Marksa jest ciągle obecna, może mniej u nas w Polsce, ale w Niemczech czy w Stanach Zjednoczonych nikt nie mówi, że należy ją odłożyć do lamusa. Takie kwestie jak rynek światowy, jego skomplikowane relacje z państwami narodowymi, monopole, oligopole, jak kryzys państwa narodowego, wizje federalizacji, choćby w Europie – zostały „napoczęte” intelektualnie i krytycznie przez Marksa. Nie można, naturalnie, na tym poprzestawać, ale odnosić się do tego warto.

– *Czy Pan się uważa za marksologa?*

– Raczej nie. Może zaczynam nim być...

– *Nie śmiałabym nazwać Pana marksistą zważywszy na związaną z tym identyfikację ideologiczną, o której Pan wcześniej mówił...*

– Chyba w bardzo szerokim sensie, pewnej, powiedziałbym, orientacji krytycznej. Nie jestem osamotniony – proszę zwrócić uwagę, że o ile w latach dziewięćdziesiątych nie do pomyslenia było, żeby w Polsce wydać książkę o Marksie albo poprowadzić seminarium czy wykład akademicki, w ciągu ostatnich czterech-pięciu lat sytuacja się zmienia. Sam się zresztą do tego przyczyniam, prowadząc co roku zajęcia związane z Marksem. Obserwuję rosnące

zainteresowanie młodych ludzi. Tworzą się środowiska, na razie niewielkie, wśród studentów czy doktorantów nauk społecznych i humanistycznych, nie tylko w Warszawie, które sięgają do tekstów samego Marksa, a w jeszcze większym stopniu, interesują się tekstami współczesnych filozofów, socjologów, inspirowanych jego dorobkiem.

– *Czy Pana kariera akademicka była związana z badaniem tego dorobku?*

– Zupełnie nie. Wielka w tym zasługa mego mistrza, Bronisława Baczki, który zmusił mnie, kiedy kończyłem studia, żebym się zajął „porządną filozofią”.

– *Zdawało mi się, że wtedy marksizm za taką uchodził?*

– Wtedy marksizm, ten żywy, oczyszczony, jak byśmy chcieli, z doraźności ideologicznych, właśnie eksplodował. Na naszym wydziale każdy biegał z pierwszym tomem „niebieskiego” wydania pod pachą – w tym tomie były wczesne teksty – i wszyscy chcieli pisać prace magisterskie z młodego Marksa albo z Gramsciego, albo z Lukácsa. Był to, oczywiście, rodzaj odreagowania marksizmu ortodoksyjnego. Pamiętam minę Baczki, kiedy przyszedłem do niego z jakimś tego rodzaju pomysłem na temat pracy magisterskiej (może to miał być „Sartre i Marks”) i jego słowa: „Nie, niech się pan zajmie porządną filozofią. Jest na przykład taki Johann Gottlieb Fichte”. Słabo znałem niemiecki, sam się nauczyłem francuskiego, angielski trochę umiałem z dzieciństwa. Profesor w ogóle tego nie przyjął do wiadomości: „Nie zna pan? To się pan nauczy”. No i napisałem pracę magisterską z Fichtego, ucząc się języka na jego tekstach. Opublikowałem ją w „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej”, bardzo prestiżowym do dzisiaj czasopiśmie, wkrótce też ukazała się po niemiecku. A potem zostałem już w tych Niemczech. Doktorat był z myśli filozoficznej, bardzo ciekawej i ważnej, Fryderyka Schillera, habilitacja znów z Fichtego, na podstawie książki o idei transcendentalizmu u niego i u Kanta. Była to robota historyczno-filozoficzna, ale ja nie miałem nigdy temperamentu historyka filozofii, więc te prace są bardziej teoretyczne niż historyczne. Później, jak wspomniałem, wyjechałem na stypendium Humboldta i ostatecznie opanowałem język – przedtem mówiłem na wykładach czy seminariach jakąś taką niemczyzną osiemnastowieczną bardziej niż współczesną – a także zadomowiłem się trwale w świecie myśli i kultury niemieckiej. Od tego czasu piszę i wykładam w obu językach, tak w Polsce, jak w Niemczech czy Austrii, a swoje prace publikuję po polsku i po niemiecku. Koledzy mówią – nieco złośliwie, ale nie bez racji – że właściwie jestem filozofem niemieckim. W istocie, to jest przestrzeń intelektualna, w której poruszam się najswobodniej i czuję najlepiej: klasyczna filozofia niemieckiego idealizmu – przede wszystkim Hegel, ale także Kant, Fichte, Schelling, niemiecki romantyzm – poprzez jej XIX-wieczne recepcje i refutacje, aż po bujny rozkwit w XX wieku. Pytała pani o Marksa – był jakoś obecny zawsze, ale w szerokim kontekście tej niemieckiej tradycji filozoficznej. W pierwszym zdaniu swojej książki o głównych nurtach marksizmu Leszek Kołakowski stwierdził: „Karol Marks był filozofem niemieckim”, co u niego nie było komplementem. Dla mnie to jest największy komplement, ponieważ uważam, że... nie ma filozofów, nowożytnych, poza niemieckimi.

– Co roku robi Pan „coś o Marksie”. Czy to będzie trwało?

– Trudno powiedzieć. Zamierzam napisać niewielką książeczkę o Marksie, może do takiej serii „Myśli i Ludzie”. Byłaby to trochę biografia, trochę monografia – Marks jako myśliciel. Czuję się do tego jakoś zobowiązany.

– Czym?

– Wydaje mi się, że powinienem sobie samemu zdać sprawę z tego, jak zmieniało się moje widzenie Marksa, jakie ono ostatecznie jest. To, co pisałem wcześniej i co włączyłem także do swojej ostatniej książki *Von Marx zu Hegel (Od Marksa do Hegla)*, oczywiście napisanej po niemiecku i wydanej dwa lata temu w Niemczech, pochodzi jednak głównie z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Teraz chciałbym jakoś zamknąć tę sprawę, o ile to w ogóle możliwe.

– Dlaczego trzeba ją zamknąć?

– Żeby wyraźniej sobie uświadomić, co zostało po Marksie i, w związku z tym, co jest jeszcze do roboty. Trzeba zakończyć tamten rozdział, żeby pisać następny, który będzie wyjściem dalej, a żeby wyjść, muszę wiedzieć, dlaczego to robię i z czego wychodzę – ja i inni zajmujący się tym rodzajem krytycznej refleksji. Dopiero wtedy można obrać kierunek dalszej drogi.

– Rozumiem, że na pytanie: dlaczego ma Pan odpowiedź... A wyobrażenie tej dalszej drogi?

– Nie mogę mieć ambicji zrobienia czegoś podstawowego „po Marksie”. Może mój udział w poszukiwaniu perspektyw „społecznego rozumu” – wymyśliłem kiedyś takie trochę symboliczne określenie, zajmując się Heglem – przyda się. Budowanie czegoś takiego, właściwie od podstaw, jest bardzo potrzebne, bo to, co do tej pory zbudowaliśmy, jest wciąż... za mało rozumne. Dokąd to nas zaprowadzi, któż to wie?